

STEFANIA WOŹNICKA

Warszawa, 1 kwietnia 1946 r. Sędzia Halina Wereńko przesłuchiwała niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzenia świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie oraz o znaczeniu przysięgi sędzia odebrała od niej przysięgę na zasadzie art. 109 kpk. Świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Stefania Jadwiga Woźnicka z d. Szlubowska
Imiona rodziców	Antoni i Zuzanna z d. Piotrowska
Data urodzenia	5 października 1895 r., Opoczno
Zajęcie	przy rodzinie
Wykształcenie	siedem klas gimnazjum
Miejsce zamieszkania	[...]
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

Przed wojną pracowałam jako urzędniczka w dziale szpitalnictwa w Zarządzie Miejskim w Warszawie. W czasie okupacji niemieckiej pozostałam na tym samym stanowisku, a od 1 października 1940 r. zostałam przeniesiona do biura ewidencji ludności Zarządu Miejskiego. W czasie okupacji, tak jak i obecnie, mieszkalam na Żoliborzu. Wiosną 1944 r. zaczęłam się opiekować dzieckiem, którego matka przebywała w więzieniu na Pawiaku. Dziecko było u Gruszewskiej (zam. przy ul. Wolskiej 129). Dzieckiem tym, pozostawionym bez opieki, zaopiekowałam się i co miesiąc dawałam mu, co mogłam. 1 sierpnia o godz. 13.00 udałam się na Wolską, by zostawić produkty i pieniądze. Dziecko było chore, myślałam sprowadzić lekarzy.

O godzinie 15.30 posłyszałam strzały i okropny krzyk, do bramy wpadli uciekający ludzie. Wyszłam na ulicę i zobaczyłam na jezdni leżących kilkanaście trupów. Idąc od numeru 129 przy Wolskiej do ul. Grabowskiego naliczyłam ok. 20 ciał. Jeźdźnię jechały samochody niemieckie. Na ulicy nikogo nie było poza mną i młodym mężczyzną, który zaczął iść razem ze mną. Niemcy z samochodów strzelali do nas, wobec tego na ul. Grabowskiego weszłam do bramy, gdzie mieściła się jakaś fabryka. Ostrzał był bardzo duży, mimo to chcąc dojść na Żoliborz do córki i syna, udałam się ul. Elekcyjną do Gostyńskiej, tu weszłam pod numer 17. Dalej nie mogłam iść, zostałam więc, usiłując gotować jedzenie dla powstańców i organizowałam robienie dla nich papierosów. Wkrótce pocisk niemiecki rozbił naszą kuchnię i wraz z innymi udałam się do piwnicy. Tu pod ostrzałem i wśród boju pozostałam wraz z innymi.

4 sierpnia powstańcy wycofali się, za nimi wpadli na ten teren Niemcy. Podwórko, parter i pierwsze piętro obrzucili granatami. Do korytarza piwnicy wrzucili trzy granaty, jednakże nikt z nas nie zginął. Następnie Niemcy podłali dom naftą i podpalili. Razem obecnych w domu było ze sto osób. Część kobiet z dziećmi w tym momencie wyszła, a Niemcy kazali im iść przed siebie. Kobietom tym udało się częściowo uciec do ogrodów Lewkowicza i po godzinie wróciły do domu. Tymczasem po odejściu Niemców mężczyźni ugasiли pożar. Spłonęło tylko jedno mieszkanie i część drugiego na parterze.

Powstańcy nocą wrócili, odbiwszy teren. Rano 5 sierpnia jednak przybiegli, wołając, by ludność uciekała, ponieważ znowu się muszą wycofać, a Niemcy mordują ludność cywilną. Uciekliśmy do ogrodu Lewkowicza, gdzie był wykopany głęboki rów zamaskowany. W schronie tym było nas do stu osób, przeważnie kobiety z dziećmi, mężczyzn mogło być do piętnastu. Pod ostrzałem siedzieliśmy do godz. 11.00. Niemcy rów obrzucali granatami ze szkoły znajdującej się pod numerem 19 przy tej samej ulicy.

O godz. 11.00 przybyli Niemcy i kazali nam wyjść ze schronu. Znajdującego się między nami policjanta z rodziną rozstrzelali na podwórku domu numer 17. Pozostałych nas wyprowadzili na ul. Gostyńską i prowadzili do mostu nad ul. Górczewską. Po drodze doskakiwali do idących żołnierze niemieccy i grabili, zabierając zegarki i pierścionki, a także medaliki z szyi. Po drodze Niemcy dołączali do naszej grupy mieszkańców okolicznych domów. Tak było cały czas aż do mostu. Tam także stała grupa ludzi. Koło mostu było nas już, na oko biorąc, ok. dwa i pół tysiąca osób.

Za mostem przy Górczewskiej, koło białego murowanego parkanu i koło szop tam się znajdujących odbywała się egzekucja. Stojących ludzi rozdzielono na trzy grupy. Znalazłam się w drugiej grupie, potem wycofałam się do trzeciej. Pierwszą grupę ustawili wzdłuż muru i szop, rzędami, a część bezładnie. Naokoło tych miejsc były ustawione karabiny maszynowe, przy czym nie pamiętam, ile ich było.

Równocześnie z ustawieniem grupy pod murem i szopami Niemcy otaczali stojących i strzelali do nich z karabinów maszynowych. Spojrzałam wtedy na zegarek sąsiadki, który jej w tym momencie rabował Niemiec. Była godzina [...]. Zaczęłam wołać do oficera niemieckiego, iż to jest ludność cywilna, by zakazał mordowania, na co on wystawił na mnie karabin.

Zaczęłam wołać do ludzi, by nie dali się bezbrinnie mordować, chciałam by wraz ze mną rzucili się na oprawców, by zginąć w chwili czynu. Wszyscy Polacy jednak byli nieruchomi. Zaczęłam więc modlić się głośno, odmawiając spowiedź powszechną. Wtedy podszedł do mnie żołnierz Ukrainiec i łamaną polszczyzną powiedział: „Modlisz się do Bozi, kochasz Bożię, zaraz będziesz u Bozi”. Powiedziane to było z okropną drwiną. Nareszcie, gdy szła moja grupa, weszłam pod szopę, pośrodku usłyszałam salwę, koło mnie ludzie padali. Przede mną mężczyzna, właściwie młody chłopiec imieniem Ignaś (lat 17), z ul. Gostyńskiej otrzymał kulę. Wtedy z wyjątkową przytomnością upadłam, podcinając mu nogi, w ten sposób, iż upadł na mnie. Straciłam przytomność.

Po jakimś czasie oprzytomniałam i poczułam, że duszę się. Na mnie, na wysokość jednego metra leżał zwał trupów. Zaczęłam grzebać ziemię, by złapać oddech, drzazga mi weszła pod paznokieć. Ból oprzytomnił mnie do reszty, zrozumiałam, iż leżę koło ściany szopy. Poczułam szalony ból w nogach, które były podeptane drewnianymi podeszwami butów mieszkańców Woli. Zemdlałam z bólu.

Potem, gdy obejrzałam nogi, były one całe w ranach i w bąblach, dotychczas mam ślady i blizny tamtych ran.

(Świadek okazuje nogi, gdzie na łydkach znajdują się różowego koloru blizny, największa z nich na wewnętrznej stronie lewej i zewnętrznej prawej nogi).

Ran przez pięć miesięcy nie mogłam zagoić.

Znów odzyskałam przytomność, kopałam koło nosa ziemię aż poczułam podmuch powietrza. Jednocześnie czułam szalony ciężar gniotących mnie ciał. Mimo, iż byłam w ostatniej grupie ludzi, z którymi razem mnie przyprowadzono, na mnie leżało już dużo trupów, a także od chwili gdy oprzytomniałam do przypuszczalnie godz. 17.00 słyszałam rozpaczliwe krzyki, jęki i wycia oraz salwy.

Zrozumiałam, iż Niemcy rozstrzeliwują coraz to nowe grupy osób. Niemcy kazali swoim ofiarom wchodzić na leżące już trupy. Był to obraz piekła. W przerwach między salwami słyszałam kroki; gdy ktoś się poruszał, był przez Niemców dobijany, dobijano również, gdy ktoś jęknął. Na mnie cztery osoby ruszały się jeszcze, kolejno słyszałam cztery strzały. Po każdym strzale oblewała mnie gorąca krew.

Później, już w obozie w Pruszkowie, zobaczyłam iż na moim płaszczu znajdują się kawałki ludzkiego mózgu. Leżałam bez ruchu.

Gdy zapadł zmierzch, zaczęłam usiłowania w celu wydostania się. Po godzinnych wysiłkach wysunęłam spod trupów głowę. Zobaczyłam koło szopy dookoła siebie wał trupów, pod białym nurem także. Całe pole wzdłuż ul. Górczewskiej aż do mostu było usłane trupami.

(Świadek sporządziła szkic sytuacyjny miejsca egzekucji, stanowiący załącznik do niniejszego protokołu).

Zaznaczam, iż leżąc cały czas pod ścianą szopy, robiłam podkop, by się wydostać na drugą stronę. Było już szaro, warty stały koło pola wzdłuż ul. Górczewskiej. W odległości stu metrów ode mnie posłyszałam płacz dziecka, spośród trupów wychyliła się dziewczynka lat cztery–pięć z ul. Gostyńskiej nr 17, nazywała się Kasia Bednarek. Widziałam, jak podszedł do Kasi Ukrainiec w niemieckim mundurze i zapytał: „Kto żyw z dzieckiem?”. Mała wyskoczyła i wołała, klęcząc: „Niech pan nie zabija mnie i siostrzyczki! Pan zbój, pan zabił tatusia i mamusię”. Ukrainiec spytał, głaszcząc ją po głowie: „Gdzie twój tatuś, gdzie mamusia?”. Dziewczynka pokazała trupy obok leżące. Ukrainiec powiedział: „Ty biedna sierotko, chodź, dam ci mleczka, dam cukierki”.

Kasia opierała się z 15 minut, nie chciała iść. Potem poszła. Zobaczyłam, iż Ukrainiec niósł również małe dziecko dwu - czy trzymiesięczne. Żołnierz zabrał dzieci. Później, gdy już siedziałam w szopie, słyszałam, iż żołnierz głośno uspokojał dzieci w sąsiednim budynku przy

szopach, gdzie, jak się zorientowałam, były koszary. Dziecko małe musiało być ogłuszone, kiedy matka z nim upadła, ponieważ dopiero ok. godz. 20.00 słyszałam, że płakało. Niemcy wołali: [Stille], a także wymyślali temu żołnierzowi, który dziecko przyniósł. Nazajutrz koło południa posłyszałam na polu egzekucji krzyk przeraźliwy Kasi i płacz dziecka, a także strzały.

Wracając do moich przeżyć. Gdy wydostałam się spod trupów, usłyszałam głos kobiety rannej w rękę. Zrobiłam opatrunek. Po chwili odezwał się głos rannej z drugiej strony. Zrobiłam ogółem siedem opatrunków, uważając, by nie zwrócić uwagi wartownika. W pewnej chwili mężczyzna leżący niedaleko wartownika, widząc, iż opatruję kogoś z rannych zawołał: „Proszę pani, i mnie”. Żołnierz poruszył się, ja schowałam się za trupy. Zastrzelił mężczyznę, który mnie prosił o pomoc, i rozglądał się, z kim zastrzelony rozmawiał. Mnie jednak nie wypatrzył.

W czasie, gdy czołgałam się między trupami, poczułam, iż ktoś mnie łapie za torebkę i chce zrabować. Spojrzałam i zobaczyłam, iż młody może 23-letni chłopiec, czołga się i usiłuje mnie obrabować. Wyrwałam mu torebkę, a po chwili widziałam, jak ten chłopak uciekał z miejsca egzekucji przez pole obsadzone kartoflami, między trupami. Postanowiłam przejść do szopy, [ale] odnalazłam podkop już zakopany. Okazało się, iż już tędy przeszły dwie kobiety z chłopcem dziesięcioletnim, które również przeżyły i nie były nawet ranne. Początkowo kobiety i chłopiec nie chciały mnie wpuścić, ale potem jakoś weszłam do szopy. Kobieta ranna w rękę, której założyłam opatrunek, także chciała przejść, ale nie mogła ze względu na to, że zbyt ją bolała rana. Poszła więc czołgać się przez pole z kartoflami. Co się z nią stało i jak się nazywała, tego nie wiem. W szopie weszłyśmy pod słomę. Jak się kobiety nazywały, tego nie wiem. Rozmawiać nie mogłyśmy ze strachu.

Od godziny 5.00 nazajutrz, 6 sierpnia, w niedzielę, znów posłyszałyśmy strzały, a zatem na polu także była egzekucja. Gdy słońce zaczęło przygrzewać, przed szopą ułożyło się na słońcu dwóch Ukraińców w krótkich majteczkach, opalali się. Ponieważ noc poprzednia była zimna, dostałam kaszlu, toteż kobiety – gdy Ukraińcy opalali się – owinęły mi głowę futrem. Męczyłam się i raz nie powstrzymałam kaszlu. Jeden z Ukraińców zerwał się: „Ktoś tu jest”, drugi powiedział: „To szczury”. Dlatego to nie mogłam rozmawiać zupełnie z kobietami, które były ze mną w szopie.

Egzekucja tego dnia trwała do godz. [brak]. Orientuję się w czasie, ponieważ jedna z kobiet w szopie miała zegarek ukryty na ręku aż pod pachą. Około godziny 14.00 Niemcy puścili

psy na pole z trupami, była to przerwa między salwami, po czym posłyszałyśmy krzyki w kartoflach i dziesięć pojedynczych strzałów. W ten sposób zginęli ci, co nie zdążyli uciec, przeżywszy egzekucję. Do szopy Niemcy także wpuścili psy, jakimś cudem nie zaszczekały, potem pobiegły na pole i wkrótce usłyszałyśmy pojedyncze krzyki i strzały.

Widziałyśmy wszystko przez szparę w szopie. Widziałyśmy także sceny z egzekucji. A więc widziałam, jak Ukrainiec ujął dziecko leżące z poduszki za nóżkę i roztrzaskał je o kant ściany białego muru. Było to koło ul. Górczewskiej. Także na trotuarze ul. Górczewskiej widziałam, jak Niemiec przycisnął główkę leżącego tam dziecka. Pośród wykonujących egzekucję oprócz Ukraińców widziałam Mongołów. Zamordowanie dzieci, które opisałam powyżej (obcasem i o ścianę) było dziełem Mongołów.

O godzinie 15.30, gdy egzekucje ustały, zobaczyłam, jak zajechały samochody ciężarowe, na które ci sami wojskowi, co się kręcili na ul. Górczewskiej i strzelali do ludzi, wrzucali trupy. Poza torem kolejowym płonęły domy. Widziałam, jak samochody naładowane trupami jechały w kierunku płonących domów, polami i ulicą, widziałam dalej, jak zatrzymywały się koło płonących domów i wracały puste na miejsce egzekucji. Naprzeciwko szopy widziałam płonący dom, gdzie przez okno Niemcy również wrzucali trupy.

Samochodów ciężarowych do ładowania zwłok było ze 30, odjeżdżały i prędko wracały po 15 min próżne. Zdaje się, iż tylko Niemcy ładowali trupy. Po godzinie ciała z egzekucji były zebrane. Kobiety razem ze mną będące w szopie bały się, iż Niemcy spalą szopę, tak się jednak nie stało. Kobiety przebywające ze mną w szopie nie powiedziały mi swoich nazwisk, bojąc się, iż Niemcy mnie złapią i ja wydam, iż uciekły z egzekucji. Wiem tylko, iż były z Woli, nawet nie wiem, z jakiej ulicy. Zorientowałam się, iż z okolic Gostyńskiej.

Po zabraniu trupów na pole egzekucji wyszło trzech starszych wojskowych i żołnierz niemiecki. Z sąsiedniej szopy – po wyrwaniu deski w ścianie – schroniły się do naszej szopy dwie kobiety. Wojskowi podważyli tę deskę i odkryli kobiety, każąc im natychmiast dziurą wyjść na pole. Kobiety wyszły, mówiąc, iż są volksdeutschkami. W tym momencie jeden z Niemców zauważył nasz podkop, tj. dziurę, którą ja i moje towarzyszkii niedoli przeszłyśmy do szopy. Podkop ten był zakryty tylko od wewnątrz w szopie. Niemiec po polsku zawołał „Podkop!” i pędem rzucił się wzdłuż ściany, by wejść z podwórza do szopy. Z chwilą, gdy Niemiec zawołał „Podkop!”, ja i dwie kobiety z dzieckiem wyskoczyłyśmy na podwórko

i czołgając się między krzakami (by nie zobaczono nas z koszar) zatrzymałyśmy się przy ścieżce prowadzącej do warsztatów (był tam montaż samochodów) i do ul. Górczewskiej, wzdłuż pola, gdzie odbyła się egzekucja.

Zaledwie doszłyśmy do furtki i zdążyłyśmy się podnieść, ujrzał nas Niemiec z kolegą biegnący do szopy. Nadeszły po chwili volksdeutschki z żołnierzami. Pierwsza zawołała do biegnącego Niemca: „Proszę mi pokazać drogę na Żoliborz, bo mnie to w pracy zastało”. Pokazałam mu legitymację, gdzie było napisane, że jestem upoważniona do kontroli biur meldunkowych, wydaną przez dyrektora Wydziału Ewidencji Zarządu Miejskiego. Dalej powiedziałam mu, iż [sprawdzałam] meldunki w biurze na ul. Wolskiej i że pod numerem 129 leżałam pod trupami.

Mówiłam to po pierwsze dlatego, iż słyszałam że na ul. Wolskiej 129 już 1 sierpnia mieszkańcy zostali rozstrzelani w podwórzu domu, po drugie dlatego, iż Urząd Meldunkowy znajduje się niedaleko od numeru 129. Dwie moje towarzyszki nic nie mówiły. Volksdeutschki okazały dokumenty i zostały zwolnione, po czym oddaliły się. Nas Niemcy zaprowadzili do warsztatów (zaznaczonych na szkicu przeze mnie sporządzonym). Tu znajdowało się przeszło tysiąc osób z gmachu sądu na Lesznie, z Górczewskiej, Wolskiej, Chłodnej i Ogrodowej. Sale warsztatów, których było dwie, były zapełnione. Są tam olbrzymie sale.

Umyłam twarz i nogi z krwi, uczesałam się. Usłyszałam jakiś krzyk, okazało się iż Ukraińcy zaczęli z sali ludzi wyprowadzać, przy czym kazali ustawić się grupami narodowościowymi: reichsdeutsche, volksdeutsche, Ukraińcy, Polacy i inne narodowości. Przybył na to oficer Wehrmachtu, opowiedziałam mu przez tłumacza moje dzieje w kilku słowach, po czym wyszedł, zabrał Ukraińców i kazał Polakom z powrotem wejść do sali z podwórza. Po chwili przybył znów oficer i kazał wyjść 20 mężczyznom, zastrzegł iż nie będą zabijać. Przyszło kilku Ukraińców z opaskami Czerwonego Krzyża, prosiłam ich o opatrunek dla rannych obecnych na sali. Jednakże nikomu opatrunku nie założyli i w ogóle nie chcieli nikomu dopomóc.

Po chwili przybyły platformy, na których ułożono rannych, ok. sześć, siedem osób i zabrano ich. Myśmy szli za wozami, które mężczyźni ciągnęli na zmianę. Zaprowadzono nas do fortu Bema.

Szliśmy ul. Górczewską. Mijając dom w połowie ul. Górczewskiej, widziałam jak z płonącego domu, z którego leciały płonące deski, wypadł trup cały zwęglony. Deski płonące poparzyły niejedną osobę z naszej grupy. Całą drogę na ulicach widziałam trupy. Szłam boso, ale bucików z trupa nie wzięłam, widziałam natomiast, jak ludzie zabierali leżące przy trupach walizki.

W forcie Bema komendant po polsku nam ogłosił, że nas nie może przyjąć, ponieważ ma już za dużo osób. Powiedział jeszcze, że gdyby mógł, puściłby wszystkich do domu. Na to ludzie zaczęli uciekać na boki, w kierunku osady Jelonki. Żołnierze zaczęli za uciekającymi strzelać w górę. Wobec tego jednak, iż nas tu nie przyjęto, eskortujący żołnierze popędzili nas do kościoła św. Stanisława. Tu nas także nie przyjęto. Udaliśmy się do fortu Wola, gdzie także powiedziano, iż niema dla nas miejsca.

Skierowano nas więc pieszo do obozu w Pruszkowie. Koło mnie szedł ten sam Ukrainiec, który przed egzekucją na ul. Górczewskiej mówił, do mnie „Modlisz się do Bozi, idziesz do Bozi”. Czy on mnie poznał, nie wiem, ale może dlatego, że byłam w pokrwawionych sukniach, ciągle na mnie uważał. W pewnej chwili za Włochami pokazał mi krzaki: „Uciekaj – rzekł – ja nie będę strzelał”. Zobaczyłam uśmiech złośliwy w oczach i powiedziałam: „Podzielę los braci”. Natomiast idąca obok kobieta z dzieckiem skierowała się w krzaki i oto Ukrainiec uniósł karabin i wystrzelił. Ranił ją. Pochód się zatrzymał, mężczyźni rzucili się, podnieśli ową razem z jej dzieckiem. Lekarz zrobił opatrunek, ułożono ranną na wozie. Pochód ruszył dalej. Myślę, że ten Ukrainiec chciał mnie zastrzelić.

Pochód składał się już teraz z bardzo wielu osób, ponieważ Niemcy, prowadzący nas, dołączali do pochodu wszystkich spotkanych na drodze i to zarówno w Warszawie, jak i poza Warszawą, stąd wielu mieszkańców podmiejskich miejscowości, którzy wyszli, by obdzielić nas chlebem, mlekiem czy owocami zostało zabranych do obozu w Pruszkowie.

Szliśmy z Warszawy całą noc, o godz. 6.00 rano 7 sierpnia weszliśmy do obozu w Pruszkowie. Tutaj podstawiono pociągi o godz. 13.30 i zabierano ludzi na transporty do Rzeszy. Udałam się do komendanta obozu i prosiłam, by mi pozwolił pójść do znajomych w Pruszkowie umyć się, ponieważ jestem cała we krwi. Zażądał dokumentów, gdy zobaczył dowody Zarządu Miejskiego zagroził mi rewolwerem. Wyszłam, ale do transportu mnie nie wzięto, Niemiec mnie odepchnął. Poszłam do doktora, ponieważ moje nogi były w bardzo złym stanie.

Zaznaczam, iż w drodze z Warszawy do Pruszkowa Ukraińcy opowiadali mi, że nas wiozą jak Żydów do krematorium na wykończenie.

Weszłam do domku, gdzie pracowali kolejarze, dali mi tu miednicę z wodą i namawiali, bym została, że oni mnie wyprowadzą z obozu jako żonę któregoś z nich. Jednakże żandarmi coś zauważyli, ponieważ otoczyli domek. Wyszłam sama, a żandarm wepchnął mnie do

sali. Dopiero doktor dał mi skierowanie do szpitala, a sanitariuszki wyprowadziły mnie poza bramę obozu.

Na tym protokół zakończono i odczytano.

Szkic orientacyjny miejsca egzekucji Polaków 5 sierpnia 1944 r. sporządzony przez świadka Stefanię Józefę Woźnicką w uzupełnieniu zeznania złożonego 1 kwietnia 1946 r. stanowiący załącznik do wymienionego protokołu.